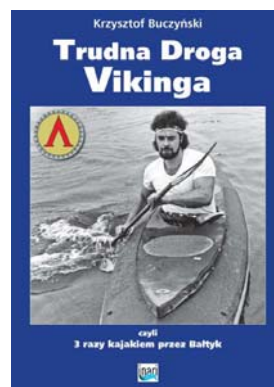


Trudna Droga Vikinga, czyli 3 razy kajakiem przez Bałtyk

Wydawca: Oficyna Wydawnicza INARI, Kielce
tel. (41) 362-78-38, e-mail: redakcja@wioslo.pl
Wydanie I, 2009
ISBN 83-920736-6-5

Autor książki: Krzysztof Buczyński

Autor wprowadzenia: Ryszard Wójcik



Wprowadzenie

Polska kajakonistyka¹ nie obejmuje zbyt wielkiej liczby tytułów poza masą mniej lub bardziej udanych przewodników, podręczników, informatorów, folderów etc., niejednokrotnie tłumaczonych z różnych języków bądź będących żalosną repliką obcych dokonań. Można rzec, że jest uboga na tle dorobku innych nacji. Dlatego też każda pozycja rodzima, jaka ukaże się na rynku wydawniczym i trafi w ręce potencjalnego czytelnika jest i winna zasługiwać na uwagę, choćby ze strony środowiska.

Książka autorstwa Krzysztofa Buczyńskiego jest pozycją nietuzinkową. Dotyka bowiem epizodu sprzed niespełna 20 lat wstecz, który w dziejach polskiego kajakarstwa pozasportowego nie znalazł dotąd należnego sobie miejsca z wielorakich przyczyn, a co za tym idzie i uznania. Biorąc pod uwagę ówczesne realia, 3-krotnie podejmowana w latach 1987-89 próba przepłynięcia Bałtyku samotnie bez jakiegokolwiek asekuracji, zasługuje ze wszech miar na to, aby zafunkcjonować w naszej, kajakowców rodzinie, jako znaczące i wielkie osiągnięcie. Tym bardziej, że 21 sierpnia 1989 roku zakończone pełnym sukcesem. Jest to zarazem pierwsza w historii tak bogato udokumentowana, udana próba pokonania przez naszego rodaka Morza Bałtyckiego na trasie Ystad – Mrzeżyno/Kołobrzeg.

Jednakże jak autor zauważył, „prawie 6 lat walki o Bałtyk pozostawił w moim wnętrzu głębokie rany. Ileż wysiłku kosztowało mnie przebicie »betonowego muru«, niechęci i obojętności, zawiści i wręcz zwyczajnej wrogości”². Jakże bolesne i pełne goryczy są to słowa. Mogły one wyjść wyłącznie spod pióra osoby wrażliwej, niechybnie dotkniętej wielokrotnie przeciwnościami losu, konfrontowanej dogłębnie już na starcie drogi życiowej z brutalnymi realiami z jakimi dane mu było się zetknąć. W moim odczuciu prezentowana pozycja nie jest jedynie suchym, bezosobowym zapisem wypraw, reportażem czy dziennikiem, okraszonym masą wielobarwnych fotografii. Wręcz przeciwnie. Mamy przed sobą niezwykle intymną relację, sugestywną i tchnącą od początku do końca autentycznością faktów oraz postaci. Powiem więcej, że można ów tekst traktować jako swego rodzaju spowiedź.

Zarazem są to dzieje jednostki uwikłanej w trybiki historii, nie tak znowu dla wielu odległej. Dla pewnej części społeczeństwa irracjonalnej i bezrozumnej, ale też odrzuconej i zapomnianej Autor, w końcu młody, bardzo młody człowiek okazał się nad wyraz bystrym i wnikliwym obserwatorem codzienności w jej różnych aspektach. Również świadkiem historii i jak to bywa zazwyczaj, wbrew sobie: „Jestem bardziej romantykiem, miłośnikiem natury, morza i przygody niż wyczynowym sportowcem dążącym za wszelką cenę do osiągnięcia jakiegoś tam rezultatu. Mój sportowy wyczyn miał mi umożliwić przeżycie wielkiej, niezapomnianej przygody”.

Uważny czytelnik, wertując kolejne stronicie niechybnie dostrzeże, jak bywa postrzegany przez narratora PRL-sowiecki protektorat, u schyłku swego „istnienia” w dekadzie lat 80. i drugiej połowy 70., w okresie rządów pretorianów reżimu Gierka, Kani i Jaruzelskiego. Dzisiejsze podręczniki gimnazjalne i licealne bardzo wrywkowo i

¹ Termin określający literaturę poświęconą kajakowaniu we wszelkich odmianach, coś na wzór marynistyki.

² Wszelkie cytaty, o ile nie są zaznaczone w odrębny sposób, pochodzą od autora, Krzysztofa Buczyńskiego i są fragmentami zaczerpniętymi z jego książki.

fragmentarycznie powracają do tamtych czasów. Gros Polaków po „przemodelowaniu genetycznym” narodu w latach II wojny światowej i w trakcie tzw. „utrwalania władzy ludowej” przez żydokomunę³ przyjęło w stosunku do władzy protektorackiej bądź postawę wyczekującą, bądź wspierało ją czynnie zasilając szeregi PZPR, ZSL, SD, PAX etc. milionami członków, o podejmowaniu zatrudnienia w resortach siłowych nie wspominając. Tylko nieliczne środowiska i jednostki zdobyły się, aby otwarcie manifestować swój opór, sprzeciw czy niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy. Zdaniem autora: „Przeciętny człowiek nie ma wielkiego wyboru. Musi wybrać mniejszą tandetę. Zgodzić się na kompromis. Zaakceptować mniejsze zło”. System tzw. realnego socjalizmu szary, nijaki, bezproduktywny, na wskroś egalitarny, bez gwarancji sukcesu dla jednostki okazał się nie do zaakceptowania przez niego, w jakiegokolwiek postaci. Zresztą, gdy startował w dorosłe życie dane mu było zetknąć się osobiście z wszelkimi przejawami beznadziejnej egzystencji, charakterystycznej dla mniejszych ośrodków miejskich. To były autentyczne peryferie życia społecznego i ludzkiej aktywności, skrzętnie zresztą skrywane przed współobywatelami przez wszechobecną cenzurę.

Krzysztof Buczyński nie zamierzał bynajmniej być szary i nijaki, bezproduktywny i bez sukcesów. Rozpierała go energia. Jego udziałem było być dostrzeżonym. Tylko w ten sposób widział swój awans społeczny, swoje nowe usytuowanie w społeczeństwie. Miał wiele do nadrobienia po utraconym dzieciństwie. Okazał się kolejnym „buntownikiem z wyboru” w PRL-u. Jak mawiał: „(...) w tym popieprzonym komunizmie wszystko jest możliwe”. Śledząc autobiograficzny zapis jego losów czytelnik w dużym stopniu może poczuć niedosyt i pewien dyskomfort. Nie ma tam bowiem krzty fragmentu o udziale w działalności opozycyjnej, niepowtarzalnych i burzliwych miesiący tworzenia się struktur „Solidarności” przed 13 grudnia 1981 roku, „konspiracy” postsolidarnościowej lat 80. Jedynie wspomniany jest pontyfikat i osoba Ojca Świętego Jana Pawła II. Jak większość Polaków, Krzysztof Buczyński, stał poza głównym nurtem wydarzeń, choćby z racji wieku, pobytu z dala od liczących się ośrodków decyzyjnych. Dzięki temu nie musiał doświadczać gorczy przegranej, jaka stała się udziałem przeważającej części najbardziej zaangażowanych oraz oszukanych ludzi tzw. „konspiracy”. Ale ów problem i zjawisko dostrzegł, gdy przygotowywał się do III wyprawy. Poszukiwał wówczas środków finansowych na jej realizację w firmie prosperującej na zasadach charakterystycznych dla III RP pomagdałenkowej. Dosłownie w kilku zdaniach osądził relacje pracodawca-pracoodbiorca oraz kilkumiesięczny kolejny epizod w życiu: „Najciekawszą postacią był pan właściciel. Kiedyś towarzysz partyjny, potem przewodniczący »Solidarności«, obecnie prywatny rzemieślnik. (...) My nabieraliśmy się na to⁴, jak niegdyś na gierkowskie »pomoczenie«. Optymizm załogi pryskał w dniu wypłaty”. A raz w tygodniu trzeba było coś wypić, aby zapomnieć o „bydlęcym upodleniu”. Towarzyszyło mu ono długie lata. Wielokrotnie zresztą powraca do tego tematu przy różnych okazjach. Tak głęboko się zakorzeniło w jego świadomości: „Nierzadko nachodziły mnie ponure myśli i uczucie żalu do Niemców o wyciągnięcie mnie w ostatniej chwili z objęć morza”⁵.

Człowiek nawet w rozpaczliwym położeniu, marginalizowany nie może pozostać bierny. Człowiek, który się nie buntuje staje się niewolnikiem. System PRL-ski był niezwykle represyjny dla tych jednostek, środowisk, grup społecznych czy zawodowych poddających w wątpliwość legitymizację do rządu i podtrzymywania fikcji przez reżim komunistyczny. Niezwykle trudno jest przezwyciężyć strach przed utratą, jeżeli nie życia to zdrowia czy nawet marnych podstaw egzystencji. Autor bardzo sugestywnie i obrazowo o tym mówi, gdy poddawany był socjalistycznej edukacji, a co za tym idzie daleko posuniętej indoktrynacji: „Aby ptak nie mógł latać trzeba połamać mu skrzydła. Człowiekowi wystarczy złamać charakter, tak skonstruowany jest dzisiejszy system oświaty. Nauczyć czytać i pisać, ale

³ Termin zaczerpnięty od Laurence Reese-Nazisci ostrzeżenie historii, W-wa 1998; szerzej w: Zagłada polskich elit Akcja AB-Katyń, W-wa 2006.

⁴ Dot. niewypłacania lub zwlekania z wypłatami dla pracowników pod płaszczykiem nie posiadania aktualnie wolnych środków finansowych.

⁵ Słowa powyższe odnoszą się do epizodu w trakcie II wyprawy 1988 roku, gdy został podjęty przez wsch. niem. patrolowic i potraktowany jako rozbitek.

złamać indywidualizm jednostki. Przystosować do pracy, do służenia, do harowania na innych. Do budowania jakiegoś absurdalnego świata, (...) świata złudzeń, w którym nie ma miejsca na prawdziwe życie, wzniosłe uczucia, prawdziwą sztukę i autentycznych bohaterów. Świata w którym mamy tak mało miejsca i czasu dla siebie”. Co prawda „nie jest tak źle zacząć życie od porażki, bo wtedy stajemy na równe nogi i tym mocniej ruszamy do przodu”⁶, ale nie każdy tak postrzega swe niepowodzenia.

Krzysztof Buczyński musiał mieć serdecznie dość istniejącego stanu rzeczy, nagromadzenia doskwierających mu na każdym kroku zachowań i ich twórców, zsowietyzowanych do cna ludzi. Pokonując kolejny szczebel edukacji, z dala od domu rodzinnego, w prowincjonalnym Nałęczowie jako kilkunastoletni chłopak miał już w sobie coś z rewolucjonisty. Rozpoczął „poszukiwanie” ideału człowieka bohatera. „Kogoś kogo mógłbym podziwiać, szanować, darzyć zaufaniem. Komu wierzyłbym bez zarzutu. Kogo mógłbym naśladować. Od kogo mógłbym się wiele nauczyć. Z kim poszedłbym nawet do piekła. Ale łatwiej takiego człowieka wymyślić niż odnaleźć w dzisiejszym prostackim świecie”. Modelowy, klasyczny przykład psychologii wieku dorastania czyli odnajdywanie i spotkanie z autorytetem. Wiara w człowieka obdarzył zrazu swego nauczyciela WF Andrzeja Brandta, potem mistrza Taekwon-do Jerzego Konarskiego z Lublina, u którego terminował i trenera Kung-fu, gdy go przypadek z nim zetknął. Żaden tak mocno nie zaciążył jednakże na już 20-kilkuletnim mężczyźnie jak Wanda Rutkiewicz, legendarna postać polskiego i nie tylko, alpinizmu i himalaizmu. Ma to związek, gdy rodziły się kolejne fascynacje, najpierw sportami walki, potem kajakarstwem turystycznym, w końcu taternictwem. Ta piękna kobieta i nieprzeciętna osobowość, okazała młodemu człowiekowi z prowincji nie tylko zainteresowanie, ale wspierała go duchowo i udzielała instruktażu w zakresie podejmowanych kroków, gdy ostatecznie przystąpił do realizacji upragnionego przedsięwzięcia. Wtedy to „budziła się we mnie wiara we własne siły” przy czym „przeklinam w duchu własną samotność i bezradność w dążeniu do celu” napomyka. Wszechobecne ówczesnie u części młodzieży, tej z ambicjami, czytelnictwo potrafiło u niejednego chłopaka rozpaścić wyobraźnię. Odbiorca autobiograficznej opowieści Buczyńskiego będzie pod ogromnym wrażeniem wiedzy, którą nabył autor pochłaniając kolejne tytuły poświęcone dziejom Wikingów, rejsów pod żaglami po morzach i oceanach, udanych wypraw kajakiem przez Atlantyk Romera i Lindemanna, surowym życiem na Alasce w powieściach Londona czy różnym rodzajom dalekowschodnich sztuk walki. W odróżnieniu od wielu swoich rówieśników kuł żelazo póki gorące. Nie samoograniczał się. Wręcz przeciwnie, czego tylko się nie dotknął winno przynieść owoce. Ale po drodze do celu był 13 grudnia 1981 roku, który zakończył „karnawał solidarnościowy”. Podjęta przez reżim komunistyczny próba, niestety udana, wyeliminowania z życia społ. i polit., najbardziej czynnych i patriotycznych elementów Narodu Polskiego, dla Krzysztofa Buczyńskiego i jemu podobnych buntowników okazała się bolesną lekcją. „Jaruzelski kazał pozamykać wszystkie placówki kulturalne w tym działalność sportową. Dwóch ludzi na ulicach to było nielegalne zgromadzenie, trzech manifestacja. Aby dopilnować porządku porzebrano niektórych naszych sąsiadów w mundury tworząc ZOMO, ROMO, ORMO i inne tego rodzaju »stowarzyszenia«. Snuli się oni wieczorami, najczęściej trójkami lub czwórkami i czepiali kogo popadło. Byle gnojek przebrany w mundur udawał waźniaka i trzęsąc policyjną pałą moralizował o poszanowaniu prawa i porządku. Uzbrojonego tchórza nie wolno lekceważyć i należy zachować ostrożność. Ale i nie wolno się poddać i trzeba robić swoje”. Prozaiczny sukces, jako instruktora Taekwon-do czy alpinisty nie był tym, do czego zmierzał, tak naprawdę pragnął i oczekiwał. Wbrew wszystkiemu, w jakimś akcie desperacji postanowił chwycić byka za rogi i wziąć w swoje ręce umykający czas. Jak sam zauważył „alpinizm i góry nie stwarzały mi szansy. Góry są statyczne, nieruchome, jakby martwe – woda natomiast wprost ziała dynamiką. Tryskała energią, huczała i śpiewała przepojona życiem”. Wyzwanie, które rzucił losowi miało tym razem ścisły związek z kajakowaniem. Na wstępie owładnięty był myślą ruszenia szlakiem

⁶ Zaczepnięty z wywiadu z francuskim pisarzem Michelelem Tournier, m.in. autora „Króla Olch”, za którą to powieść otrzymał w 1970 r. Nagrodę Goncourtów publikowany w ”Le Nouvel Observateur”z 20.12.2007 r.

wypraw Waclawa Korabiewicza⁷. „Ale liczne granice, formalności i spore koszty odstraszały”. Aż w końcu zaczął go nęcić Bałtyk pod wiosłem, na co wpływ zresztą miała lektura książki o wyczynie z końca lat 50., polskiego żeglarza Andrzeja Urbańczyka. Młodzieńczy zapał i zaangażowanie bardzo szybko zetknęły się ze skorumpowaną i zsowietyzowaną biurokracją PRL-u, socjalistyczną mentalnością urzędników wszelkiej maści oraz szczebla, gdziekolwiek by nie zasiadali. Przeciętny obywatel był ich wrogiem ponieważ zmuszał do wysiłku, nie tylko intelektualnego. „Inteligencję mieli tylko do tego, aby wymyślać osobliwe preteksty odmowy”. Stanowił autentyczne zagrożenie, gdyż odznaczał się aktywnością nie poddaną kontroli władz państwowych. „Nie potrafiłem przekonać tych ludzi, zarazić pomysłem.(...) A jeżeli zdarzyła się jakaś aktywna jednostka zwierali szeregi i przeszkadzali jak umieli, aby utrudnić nam życie”. Tak komentował Buczyński 2-letnie wysiłki wydeptując ścieżki TKKF (Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej), LmiRz (Liga Morska i Rzeczna), PTTK (Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze), PZKaj (Polski Związek Kajakowy). Ten ostatni ustami swojego vice Prezesa ds. Organizacyjnych ZG PZKaj, a później już Prezesa Edwarda Serednickiego był za, ale i przeciw. Trudno jednak wymagać od reprezentanta kajakowców innej opinii, jeżeli w tym samym okresie na KNAK (Krajowa Narada Aktywu Kajakowego) zostaje przyjęty, a jakże, jednogłośnie, wniosek, aby: „Nie umieszczać w kalendarzu imprez KT PZKaj, nie finansować, nie partycypować w kosztach imprez, które nie zostały zatwierdzone przez Zespół ds. Akcji i Imprez KT PZKaj”. Wyjątkowo niechętny stosunek wobec przedsięwzięcia wyraził Urząd Morski z siedzibą w Szczecinie, aby miejscem startu było Świnoujście. Trudno za entuzjastę uznać WOP (Wojska Ochrony Pogranicza), formację wojska o atrybutach czysto policyjnych. A nóż w razie potencjalnego sukcesu pływanie po Bałtyku znajdzie naśladowców, którzy zechcą po kryjomu „opuścić socjalistyczną ojczyznę”. W końcu lichy nie śpi. „Dzika wyprawa”, „To dla Pańskiego dobra” – takimi epitetami bywał na każdym kroku obdarzany pomysłodawca, Krzysztof Buczyński.

„Właściwie pierwszymi urzędnikami, którzy na plany przebycia Bałtyku kajakiem spojrzeli łaskawym okiem, jak również ustosunkowali się pozytywnie, okazali się pracownicy ambasady szwedzkiej”. Było to jakieś światełko w mrocznym tunelu pod nazwą PRL. Wynikł kolejny problem i temat. „Sprawa paszportu przez długi okres czasu była nie do przeskoczenia”. Po wielomiesięcznych przepychankach, bo tak należy traktować podchody entuzjasty kajakarstwa morskiego do tak szacownej instytucji centralnej jak GKKFiS (Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu), zapadły wiążące decyzje. Jest warunkowa, a jakże, zgoda uprawniająca do wyjazdu poza granice kraju na koszt organizatora, jako wyprawa turystyczna. W 2 poł. lat 80. „»czerwoni« jakby odpuszczali i zaczęli się po trochu cywilizować. (...) Wizę wywalczyłem właściwie dzięki desperacji, a nie rozsądnemu działaniu, ale podobne zachowania w PRL-u były wówczas na porządku dziennym”. Na dodatek, m. in. ustami Urbana, rzecznika reżimowych władz, „propaganda komunistyczna obrzydzała nam każdy cywilizowany kraj. Wszystko „super” było tylko w Związku Radzieckim i w »naszym obozie«”. Powoli i nieubłagane zmagania na polu dostępu do własnej wizji świata, samodoskonalenia się, samorealizacji wchodziły w oczekiwaną od lat sferę wykonawczą. „Oto nadszedł czas rozpoczęcia wyprawy. Niedługo wypłynę. Stanę oko w oko z Bałtykiem, będę zmagał się z nim w straszliwych zapasach. Czy dam radę? Czy wytrzymam? Kto wyjdzie zwycięsko z tego pojedynku? Czy mogę w ogóle wygrać? Czy żywioł może zostać pokonany? Przecież jest wieczny. Ja stawiam w tej grze wszystko na jedną kartę i tylko ja mogę wszystko utracić. Ale nie przegram. Moje marzenia spełnią się. Będę na morzu i to już jest zwycięstwem! (...) Słowo »życie« nabierało nowego znaczenia. Jakby zmaterializowało się. Nadeszło nareszcie to, na co długo czekałem. Czego istnienia domyślałem się instynktownie, a co trudno wyrazić słowami. Teraz nadeszło. Krew krążyła szybciej w swoich naczyniach roznosząc energię do najmniejszej komórki. Słyszałem jak wali

⁷ Waclaw Korabiewicz, wielka postać polskiego kajakarstwa ekspedycyjnego w latach II RP. Odbył szereg wypraw: Prut – Dunaj – wybrzeża Morza Czarnego, Marmara, Egejskiego i Śródziemnego – Eufrat i Tygrys – wybrzeża Zatoki Perskiej i Oceanu Indyjskiego – Indus i Satledź; wcześniej Orawa – Wag – Dunaj – Morze Czarne, Marmara, Egejskie. Autor serii reportaży pt. „Kajakiem do minaretów” i „Kajakiem do Indii”.

mi serce. Mięśnie domagały się czynu. Chciałem krzyknąć i śpiewać z radości. Po prostu zaczynałem ŻYĆ”. I to wbrew opiniom malkontentów zza biurka, którzy mieli tak wiele do powiedzenia w tej materii, a nie potrafili trzymać wiosła w dłoniach⁸. A propos wiosła: „Nowe wiosło obiecywał Prezes PZKaj, ale jak to z prezesami bywa, na obiecankach się skończyło”.

WYPRAWA I miała swój początek 15 sierpnia 1987 r. w Święto Wniebowzięcia Najświętszej Panny wyjazdem z Sochaczewa do Warszawy. A po 2 dniach opuszczeniem pokładu promu w Ystad. „Szwedzi przyjęli mnie ciepło i życzliwie, jak mogli pomagali na każdym kroku. (...) Tu w Szwecji jestem wolny i niezależny. Nikt nie ma nade mną władzy, nikt mi już nie przeszkodzi, sam zadecyduję o wszystkim. Wszelkie zło, nieszczęścia, ograniczanie mojej indywidualności i swobody, zmuszanie do bezsensownej pracy, upokorzenia na każdym kroku oraz ciągły strach i niepewność przyszłości, a także uczucie marnowania młodych lat życia, jak najgorsze zmory opuściły mnie pozostając po tamtej stronie Bałtyku”. Po wielodniowym pobycie u Skandynawów i 2 dobach spędzonych na morzu, niespełna 28-30 mil od celu podróży, wsch.-niem. kuter rybacki „Freund-schaft-1” podejmuje kajak Buczyńskiego o wymownej nazwie „Viking”, pod pretekstem zbliżającego się sztormu. Przygoda kończy się podróżą na pokładzie holownika ratowniczego, ale pod polską banderą pod nazwą „Rosomak” w Świnoujściu.

„Kiedy wypłynąłem na Bałtyk nie miałem za sobą żadnego przygotowania w morskim rzemiośle. Nigdy przedtem nie pływałem kajakiem po morzu, nie walczyłem z tak dużą falą, nie wiosłowałem tyle godzin bez dłuższego wypoczynku. (...) Była to moja pierwsza lekcja, lekcja trudna ale ciekawa. Lekcja wyjątkowa, na której natychmiast zdajemy końcowy egzamin. Jest to egzamin praktyczny, a skala ocen składa się tylko z dwu stopni. Zdał lub nie! Morze rządzi się starym, bezwzględny prawem natury, które eliminuje słabych, niedouczone, niesprawnych... A właściwie to nie morze ich eliminuje – oni eliminują się sami! (...) W każdym razie odnalazłem swój świat. Tutaj na morzu, pośród nieustannie pędzących fal i hulającego wiatru jestem szczęśliwy i wolny”.

„Nieudany finał wyprawy wcale mnie załamał. Wprost przeciwnie. Czuję się tak silny, tak naładowany energią, że mógłbym natychmiast wyruszyć ponownie. Cała prasa krajowa zrobiła na mnie nagonkę domagając się kar pieniężnych za kurs ratowniczego statku oraz odsadzając mnie od czci i wiary. (...) Całą wyprawę »Vikinga« nazwano zaś »żałosnym wybrykiem«. Krzysztof Buczyński jak na kajakowca morskiego przystało myślał gdzie indziej: „Jak zorganizować drugą wyprawę? (...) Szybko zorientowałem się, że biurokratyczny mur jest nie do przebicia. Mogłem tylko rozbić głowę”.

WYPRAWA II rozpoczęła od wyjazdu ze sprzętem do Świnoujścia 27 lipca 1988 r. 8 sierpnia „Viking” pruć już wody Bałtyku w drodze na południe. Krzysztof Buczyński tym razem potrzebował niespełna 1,5 doby na dotarcie w głąb Zat. Pomorskiej. „Fatum stanęło na drodze »Vikinga« przez Bałtyk i to już po raz drugi”.

NRD-wski śmigłowiec w sposób celowy w efekcie kilkakrotnych nalotów na niewielkiej wysokości doprowadza do wywrócenia się kajaka, a patrolowiec wezwany na miejsce zdarzenia niszczy go w trakcie nie do końca przemyślanej akcji ratowniczej. Marynarze wsch.-niem. z „rozbitkiem” popłynęli docelowo do Sasnitz (Strzałowa) na Rugii, gdzie umieszczono go w miejscowym szpitalu. Kilkakrotnie jest odwiedzany przez przedstawicieli miejscowych władz (Stasi?). „Na lądzie zawsze przeszkadzali mi ludzie. Tworzyli zakłętą, obłądny krąg prowadzący donikąd” – podsumowuje ostatecznie Buczyński. Za pośrednictwem polskiego konsulatu w Rostocku powraca do kraju ze szczątkami „Vikinga”. Przekraczając granicę na Odrze odczuł wielką ulgę: „Od chwili pojawienia się niemieckiego helikoptera tak naprawdę dopiero teraz poczułem się całkiem bezpiecznie”.

⁸ Zdaniem autorów J.Gajewskiego, K.Klementowskiego, A.Król-Jeżabek, Z.Kruczek-Stan nie przewidywano miejsca dla czegoś takiego jak indywidualne kajakowe eskapady, tym bardziej morskie. „Uwarunkowania rozwoju turystyki kwalifikowanej w Polsce”, część 4. Turystyka kajakowa, wyd. Inst. Turystyki O/Kraków Kraków-Wrocław 1985.

Niemcy otrzymali oficjalne podziękowanie za bohaterski czyn od konsula. Jak to wytłumaczył: "dla utrzymania poprawnych stosunków i załagodzenia sytuacji". Polskojęzyczna prasa PRL-u oczywiście obsobaczyła na wszystkie strony przedsięwzięcie swojego obywatela. Czy były ku temu jakieś podskórne powody? Pomędzy 1985 a 1988 rokiem (po zjednoczeniu Niemiec problem powrócił choćby w 2006 roku) zaistniał otwarty konflikt między PRL a NRD (Niemiecka Republika Demokratyczna, d. Niemcy Wsch.) w sprawie rozgraniczenia wód Zat. Pomorskiej. Doszło do aż blisko 180 incydentów z udziałem okrętów, statków, samolotów i śmigłowców wsch.-niem., które uniemożliwiały wypełnienie stronie polskiej jurysdykcji na tych akwenach. Oczywiście władze reżimowe ukrywały przed narodem ten stan rzeczy, aby Polacy nie dowiedzieli się prawdy o relacjach, jakby nie było socjalistycznych sojuszników i to tak drażliwych bo polsko-niemieckich. Krzysztof Buczyński, zupełnie nieświadomy, aż 2-krotnie znalazł się zdaniem wiadomych resortów po obu stronach granicy, nie tam gdzie trzeba, jeżeli chodzi o miejsce i czas. Brutalnie przerwana eskapada dobitnie pokazała oblicze, czymże tak naprawdę jest NRD.

WYPRAWA III i ostatnia doszła do skutku dzięki wydatnej pomocy PŻB (Polska Żegluga Bałtycka) kołobrzeskiego armatora oraz wsparciu finansowym Adama Jońca ze Szwecji. Mimo układów magdalenkowych zsovietyzowana biurokracja miała się stosunkowo dobrze. Wypłynięcie „Vikinga” (zbudowany ze starego „Neptuna” i uratowanych szczątków poprzednika) blokował długie tygodnie Urząd Morski w Słupsku. „W Słupsku siedział »beton«”. „Gdybym miał szwedzki, duński lub jakiś inny paszport mógłbym spokojnie wypłynąć. Ale »polskie morze« było dla Polaków zamknięte. Byliśmy gorszymi obywatelami nawet w swoim kraju”. Ostatecznie po różnych perturbacjach zapadła decyzja o wyruszeniu w rejs 18 sierpnia 1989 roku, jak poprzednio z Ystad, ale tym razem w kierunku na Bornholm, który omija z prawej burty. Autor 4 dnia rankiem, dostrzeżony przez WOP, w asyście jego patrolowej motorówki, dotarł do Mrzeżyna i dalej do Kołobrzegu. 6 lat przygotowań i 3-krotna próba pokonania Bałtyku kończy się pełnym sukcesem i przechodzi do historii.

Pozycja, jaka dociera do zainteresowanego czytelnika, autorstwa Krzysztofa Buczyńskiego, ma ów wyczyn niewątpliwie przywrócić historii. Annały polskiego kajakowania po morzu nie są znów aż tak bogate, by okrywał je kurz zapomnienia.